płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · XII · 1986

23

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

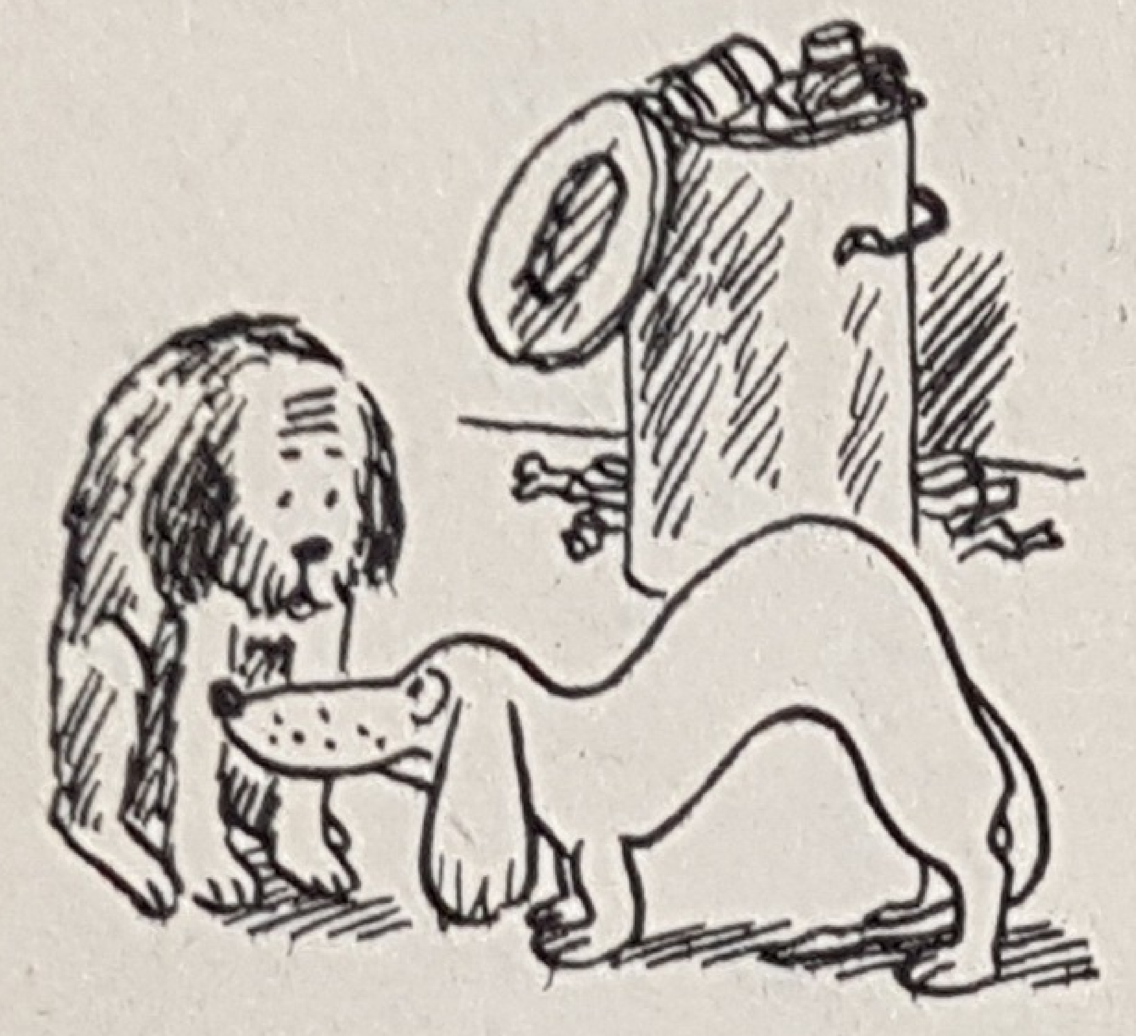

— Musisz im koniecznie powiedzieć, żeby ci zrobili dłuższą budę!

— Widzę, że za moim przykładem też masz własny domek!

Pomysł!

A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

TORUŃ otrzymał prawa miejskie razem z aktem lokacyjnym 28 grudnia 1233 r.

●

POCZĄTKI osadnictwa na terenie Torunia sięgają IX w. p.n.e. Z tamtego okresu pochodzą wykopaliska odkryte pod murami zamku krzyżackiego. Ślady wczesnego osadnictwa słowiańskiego spotykano w Toruniu do XII wieku.

●

PRZED toruńskim Ratuszem na Rynku Staromiejskim w 1855 roku został wzniesiony pomnik wielkiego astronoma — Mikołaja Kopernika, wykonany według projektu rzeźbiarza F. Tiecka.

●

W TORUNIU, podobnie jak w innych miastach średniowiecznych, w 1455 r. postawiono pręgierz — „słup hańby", przy którym stawiano przestępców i wymierzano im chłostę.

Jeden z ostatnich zapisków dotyczących tej kary odnosi się do Teresy Dygańskiej, która w 1629 r. została ukarana pod pręgierzem za to, że odziana w białe prześcieradło, straszyła w mieście ludzi.

TORUŃSKI Ratusz jest najstarszym w Polsce i jednym z najcenniejszych zabytków tego typu w Europie. Najstarszą częścią Ratusza jest wysoka, 40-metrowa wieża wzniesiona w 1250 r. We wnętrzu Ratusza zachowały się piękne sale gotyckie.

Obecnie ma tu swoją siedzibę Muzeum Okręgowe, w którym znajduje się, między innymi, wspaniała kolekcja portretów królów polskich.

●

W TORUNIU 19 lutego 1473 roku urodził się Mikołaj Kopernik i w tym mieście rozpoczął naukę w szkole parafialnej.

●

JEDNYM z ciekawszych zabytków w Toruniu jest Krzywa Wieża — baszta pochodząca z połowy XIV w. Pochyliła się wskutek przesuwania się gliniastego gruntu, na którym ją postawiono.

Krzywa Wieża jest pozostałością z dawnych obronnych murów miejskich. Do naszych czasów zachowało się w Toruniu trzydzieści kilka starych baszt.

Nasza okładka:

Nasza okładka: Asia i Wojtek w skansenie Muzeum Etnograficznego w Toruniu

GWIAZDY NAD TORUNIEM

Nad Toruniem
niebo się czerni,
a na niebie
lśni milion gwiazd.
Tu, w Toruniu,
mieszkał Kopernik —
zapatrzony w niebo,
w Słońca blask.
Jego myśl w kosmosie
wędrowała,
jak rakieta
szybka i śmiała —
poprzez dziwne,
tajemnicze niebo,
złoto Słońca,
Księżyca srebro.

Zachowajmy tę myśl
w pamięci. (...)

Czesław Janczarski
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

Z PŁOMYCZKIEM PO POLSCE

TRZY DNI W TORUNIU

Trzy dni, które spędziliśmy w tym mieście, wystarczyły zaledwie na to, aby pooddychać trochę atmosferą gotyckich domów i świątyń. Aby zamyślić się przez chwilę przy tym domu, w którym 19 lutego 1473 roku urodził się Mikołaj Kopernik. Wystarczyły tylko, aby popatrzeć na tę żabią fontannę w Rynku, pośrodku której Szymek — flisaczek stoi. I próbować — przylgnąwszy dokładnie plecami do krzywej Wieży — ustać dłużej niż 5 sekund...

A potem nagle, pośrodku gwarnego miasta zobaczyliśmy wieś w skansenie przy Muzeum Etnograficznym. Jest to taki skansen, który naprawdę tętni życiem.

Potem poszliśmy do Galerii Malarstwa Dziecięcego, gdzie sąsiadują — i jakoś z sobą po malarsku rozmawiają — rysunki dzieci polskich z rysunkami dzieci z wielu krajów świata.

Z panią kierowniczką Galerii Dziecięcej uzgodniliśmy, że niektóre, szczególnie cenne rysunki z naszych konkursów „Chcemy pokoju" i „Wszystko, co kochamy" będziemy przechowywać właśnie w tej Galerii, jak w banku. Aby się nie zniszczyły, i aby mogli oglądać je mieszkańcy Torunia i turyści.

Z pracownikami Skansenu umówiliśmy się, że pomogą nam w przyszłości w atrakcyjnym popularyzowaniu folkloru na łamach „Płomyczka".

Zwiedziliśmy także forty wokół Torunia i słodką fabrykę pierników „Kopernik" (napiszemy o niej w następnym, świątecznym „Płomyczku").

— I gdzie jeszcze byliśmy?

— W PGR w Zegartowicach, sławnym z tego na cały kraj, że działa tu znakomity dziecięcy zespół „Kundzia".

I u dzieci w osiedlowym Klubie „Rubin". Tutaj dwie dziewczynki z V klasy: Hortensja Rosman i Jola Sowińska opowiedziały nam (czyli redaktorom „Płomyczka") dwie bardzo piękne legendy toruńskie — o Szymku flisaczku i o Krzywej Wieży.

Ta ostatnia, jest tak króciutka, że spróbuję ją — za Jolą — powtórzyć:

Wisła podmywała Krzywą Wieżę.
Wieża ze strachu zaczęła krzyczeć.
Krzyczała, że zaraz runie.
Na to Wisła odrzekła:
— To ruń.

— A jak zakończyliśmy swój pobyt?

Udaliśmy się do **Prezydenta Miasta Torunia, mgra inż. Romualda Bestera** z podziękowaniem za zaproszenie „Płomyczka" i za gościnę w pięknym, starym grodzie, któremu poświęcamy ten numer naszego pisma. I o którym będziemy jeszcze nieraz pisać.

O jego szacownych murach i sławnych mieszkańcach. Na przykład o Samuelu Bogumile Lindem, słynnym autorze pomnikowego „Słownika języka polskiego". I o przesympatycznym gawędziarzu, podróżniku Tonim Haliku...

Tadeusz Chudy

Prezydent Miasta Torunia — Romuald Bester (na fot. w środku) przyjął nas w swoim gabinecie

Hortensja i Jola opowiadają legendy

Krzywa Wieża z XIV wieku

Województwo toruńskie leży w północnej części Polski centralnej, pomiędzy Wisłą a Drwęcą. Zasadniczą część województwa tworzą historyczne ziemie: Chełmińska i Dobrzyńska.

Zajmuje obszar 5345 km², co stanowi 1,7 proc. powierzchni kraju. Mieszka tu około 600 tys. osób — to jest 1,7 proc. ludności kraju.

Znaczna część ludności województwa zatrudniona jest w dużych zakładach przemysłowych, jak np. ZWCh „Chemitex — Elana", TPCz. „Merinotex", PZAE „Ema-Apator", GZPG „Stomil" (w Grudziądzu), w Kombinacie Cukrowniczym w Chełmży, w Zakładach Tworzyw Sztucznych „EV" w Wąbrzeźnie.

W skład województwa wchodzi 13 miast i 41 gmin.

Na terenie województwa toruńskiego działają dwa teatry dramatyczne: Teatr im. W. Horzycy w Toruniu i Teatr Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu oraz Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Baj Pomorski" w Toruniu.

Dominującą rolę w życiu naukowym województwa odgrywa Uniwersytet Mikołaja Kopernika utworzony w 1945 r.

Od przeszło 100 lat prowadzi ożywioną działalność Towarzystwo Naukowe w Toruniu.

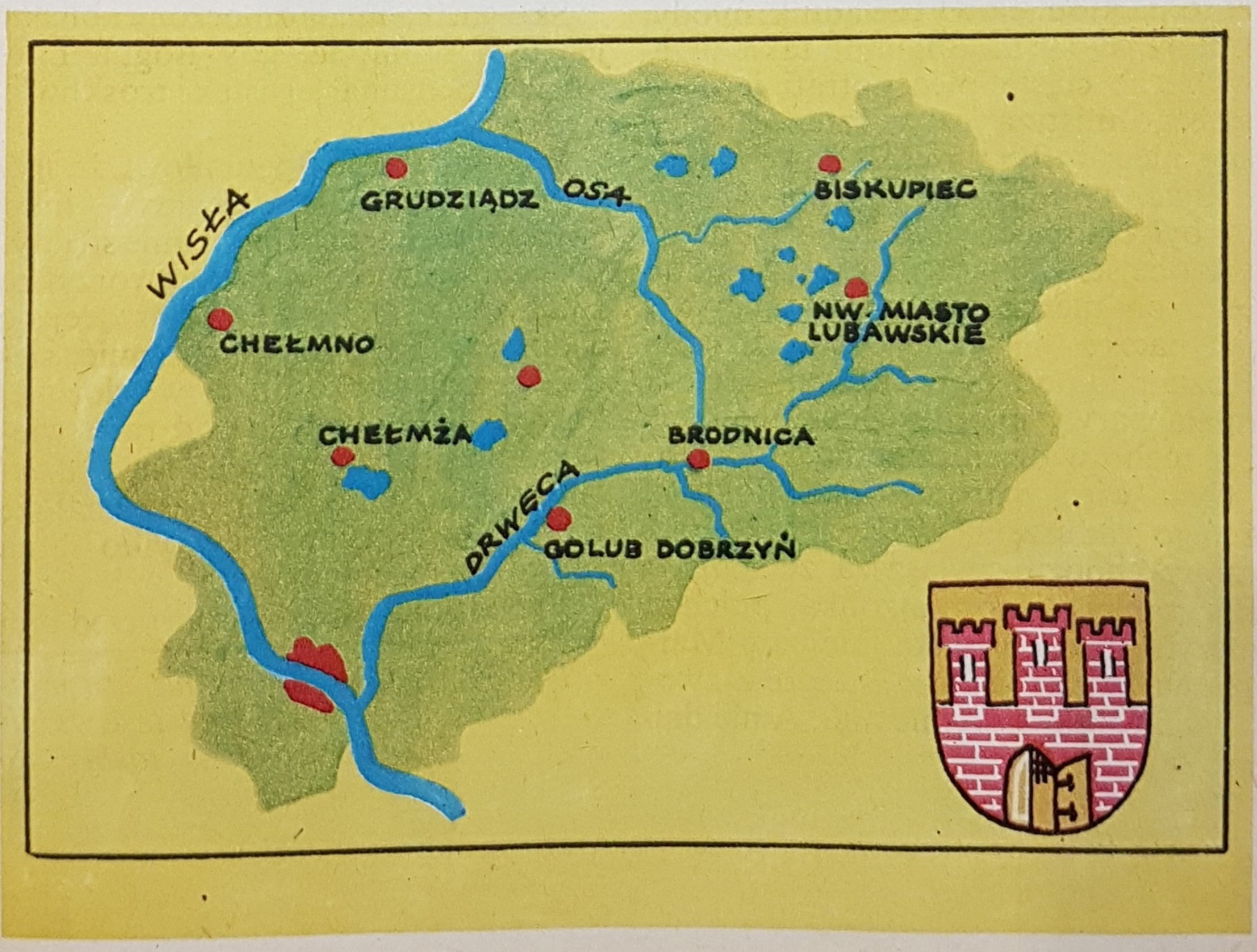

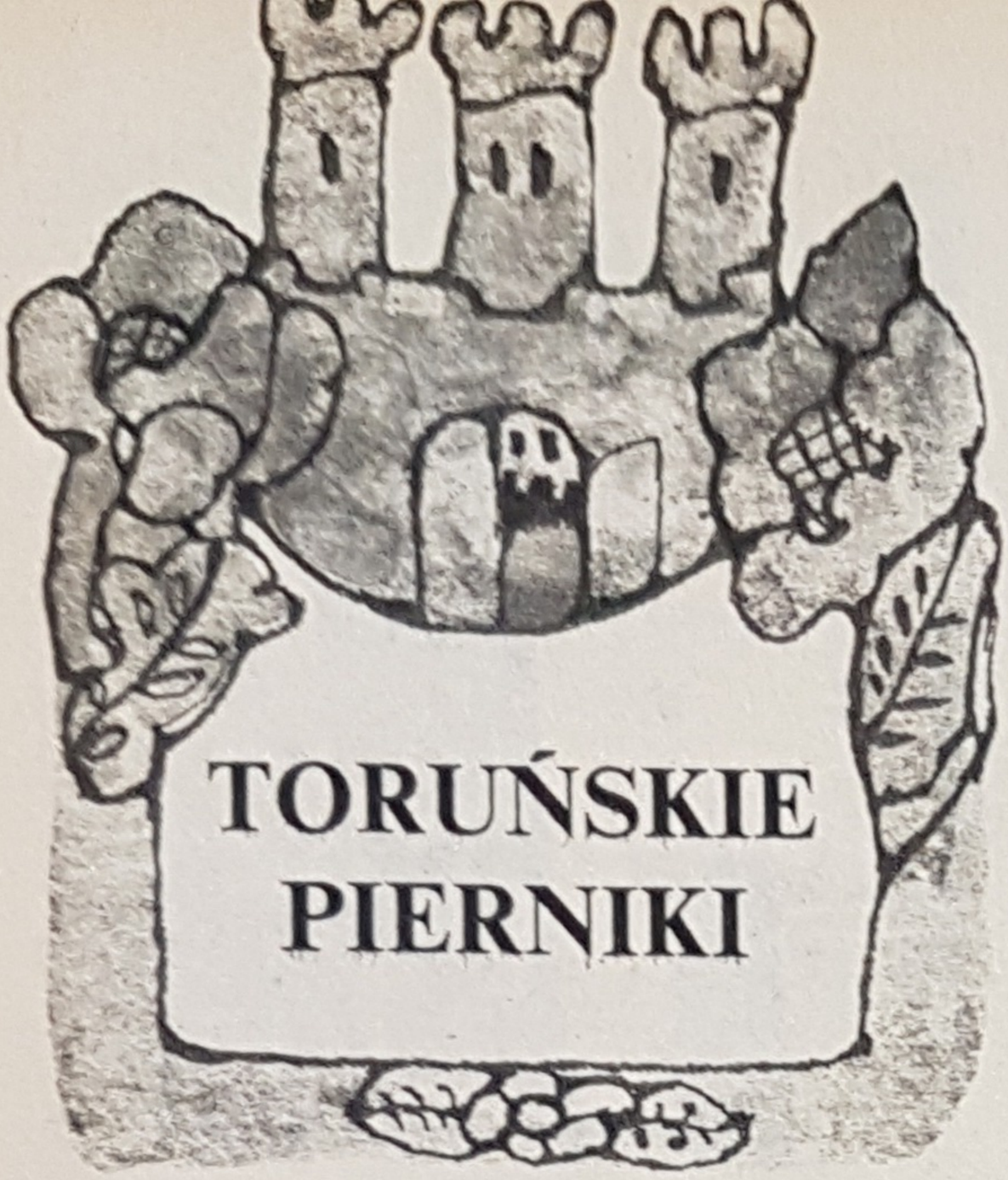

TORUŃSKIE PIERNIKI

Dawne to były dzieje, bo już cztery wieki minęły od owych czasów, gdy w pięknym mieście Toruniu, słynącym już wtedy z wypieku smakowitych ciast, mieszkał mistrz piekarski Bartłomiej. Szerokiej sławy zażywał — ciasta wszelkie przez niego wypiekane za najlepsze uchodziły nie tylko w Toruniu, ale i nawet w innych miastach. Co prawda, ludzie szeptali, że to Bartłomiejowy czeladnik, młody, śmigły jak sosna Bogumił, takie przewyborne ciasta piec potrafi i że od samego mistrza jest w sztuce bieglejszy, ale sam Bogumił, o sławę nic nie dbając, tym się nie chwalił. Dobry to był chłopiec — do roboty chętny i w obejściu układny i zakochany do tego co niemiara w Bartłomiejowej jedynaczce — pięknej Rózi. Była ta Rózia nad podziw urodziwa — włosy miała barwy miodu, a oczy błękitne jak niebo w dzień pogodny.

Nic więc dziwnego, że Bogumił z tego zadurzenia w Rózi jak urzeczony chodził, zwłaszcza że majster Bartłomiej i jego małżonka, pulchna niczym pszenna bułka imć pani Marcjanna, wcale jeszcze swego zezwolenia na zrękowiny nie dali. A nie dali dlatego, że się za bogatszym mężem dla córki rozglądali. Widział im się zwłaszcza niezmiernie majętny wdowiec, pasamonnik*, mistrz Pankracy. Tyle tylko, że sama panna nie bardzo Pankracemu sprzyjała, bo był stary i gruby, a Bogumił był urodny i wesoły jak ptak. Za to był biedny, a Pankracy w dostatek opływał i darami Rózię obsypywał. A to naszyjniki z bursztynu i srebra przynosił, a to korale niezwykłe od zamorskich kupców kupione, a to wstążki! A raz nawet podarował jej rękawiczki, perełkami na wierzchu wyszywane. Takie, jakie tylko wielkie damy nosiły. Zaś Bogumił? — ledwie mógł słodkie ciastko upiec dla swej ukochanej albo przynieść kwiatki zerwane na łące czy w lesie.

Któregoś dnia, gdy szedł samotnie, daleko za miastem, leśną drogą, spostrzegł nad małym jeziorkiem kępkę niezapominajek. Pomyślał, że są błękitne jak oczy jego ukochanej, i pochylił się nad wodą. I wtedy spostrzegł, że w wodzie pływa, przebierając z trudem łapkami, niezwykle duża pszczoła.

Skrzydełka miała zmoczone i bliska już była utonięcia, gdy Bogumił litościwie podsunął jej listek i troskliwie wydobył z wody.

Wtem zdało się Bogumiłowi, że słyszy tuż za sobą jakiś cichy głos — ni to świergot ptaka, ni to brząkanie struny. Obejrzał się więc i aż usta otworzył ze zdumienia — bo oto na kołyszącej się gałązce kaliny, niczym na tronie, siedziała maleńka osóbka w złocistej koronie. I Bogumił już od razu wiedział, bo nie darmo bajek się w dzieciństwie od starej babki nasłuchał, że nie jest to nikt inny, jak tylko sama królowa krasnoludków.

Przyklęknął więc dwornie przed tym

---

* *pasamonnik — rzemieślnik wyrabiający pasy, frędzle i wszelkiego rodzaju taśmy do ozdoby sukien.*

królewskim majestatem na jedno kolano, a królowa głosem, co srebrzysty dźwięk sygnaturki przypominał, rzekła:

— Dzięki ci, zacny czeladniku Bogumile, żeś moją ukochaną pszczołę z topieli uratował. Jest to matka pszczelego roju, który miód dla nas w leśnych barciach zbiera. Poddani moi bowiem żywią się tylko miodem złocistym. Tak więc oddałeś nam wielką przysługę, że zaś zwykłam nagradzać za przysługi, przeto słuchaj, co ci powiem. Słuchaj uważnie, bo wielką tajemnicę ci zwierzę. Przetrwa ona przez wiele wieków i zawsze nieść będzie radość i uśmiech. Otóż pomnij — że jeśli oprócz zagranicznych korzeni i przypraw dodasz do pierników, które wypiekasz, jeszcze i wonnego, słodkiego miodu, smak ich będzie niezrównany. Zaś pszczoły, jako żeś dobry był dla ich matki i krzywdy im nie czynisz — zawsze cię swoim miodem obdarzą. I pomnij też i to, że jeśli rady mej posłuchasz — szczęście już cię nie opuści.

Pochylił się czeladnik Bogumił w pokłonie, dziękując królowej krasnoludków, a kiedy podniósł głowę — już jej nie było.

Przetarł czeladnik Bogumił oczy, bo nie był pewien, czy mu się sen taki dziwny w tym pachnącym lesie wyśnił, czy też naprawdę rzecz tak dziwna się zdarzyła, i tak się tym wszystkim zasumował, że do miasta spiesznie wrócił.

A w mieście zastał ruch i gwar niezwykły na ulicach. Patrzy czeladnik Bogumił, że mieszczanie gromadkami stoją i uradzają nad czymś.

Podszedł więc do znajomków i pyta:

— Co się tu dzieje, że taki ruch

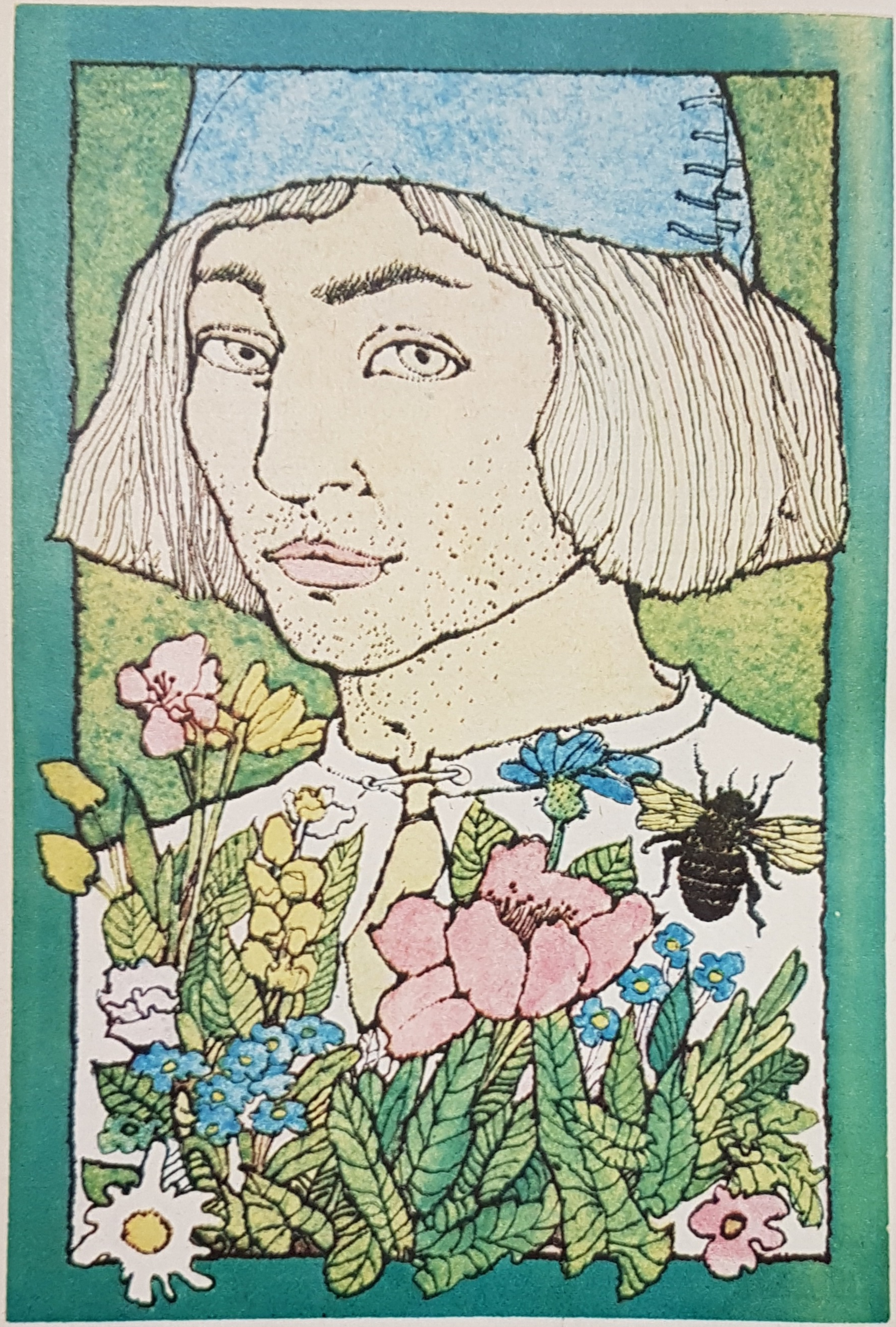

Rys. Wiesław Majchrzak

w całym mieście?

— Jakże to — mówią — nowiny nie wiesz najważniejszej, że jutro Król Jegomość, miłościwie całej polskiej ziemi panujący, do Torunia przybywa? I że się ludowi toruńskiemu w całym majestacie ukaże? I że przybędzie ze swoją małżonką i królewiętami?

— To dopiero! — zakrzyknął zdumiony czeladnik Bogumił i co tchu popędził do swojego mistrza.

A w kamienicy Bartłomieja już aż wrzało. Mistrz sam się przy dzieży krzątał i ciasto zaczyniał. Ledwie zaś Bogumiła dojrzał, zakrzyknął srogo:

— A gdzieżeś to bywał? Nie wiesz, że wszyscy mistrzowie piekarscy z całego Torunia co najlepsze ciasta i pierniki szykują, aby króla godnie podejmować? A z czymże ja się pokażę? Ciasto jeszcze nie zaczynione, a ty nie wiadomo gdzie się wałęsasz! Na wstyd i pohańbienie mnie narażasz. Wypędzę, jeśli mi ciast i pierników na porę nie upieczesz!

Pokłonił się w milczeniu czeladnik i zaraz ku dzieżom poskoczył, aby ciasto na pierniki zaczynić. Już mąkę przez sito przesiał, już korzenne przyprawy naszykował, gdy naraz przypomniał sobie o swojej leśnej przygodzie. I serce mu zabiło — a gdyby tak spróbować z onym miodem złocistym ciasto wypiec? Co by to było?

Hej, hej! Co by to było, gdyby się tak mistrz Bartłomiej dowiedział, że jego czeladnik w nocy przy dzieżach się krzątając ciasto dziwnie przyprawia miodem złocistym, a potem w formy co najpiękniejsze je nakłada i do pieca wsuwa. Jedna forma wyżłobiona była w kształcie rycerza, druga w kształcie serca zdobionego kwiatami, jeszcze inna jelenia przedstawia, a jeszcze inna damę strojną.

Gdy zaś błękitny poranek nad Toruniem zawisnął — upieczone już były Bogumiłowe pierniki.

Potem błękitność poranku zmieniła się w złocistość dnia i niczym drugie słońce zabłysła królewska korona, gdy król z królową i królewiętami na rynku zasiadł, górując nad ludem i łaskawie poczęstunek toruńskiego ludu przyjmował. Ale dopiero gdy mistrz Bartłomiej na srebrzystej tacy królewiętom pierniki owe z miodem przez Bogumiła upieczone podał — rozległy się okrzyki pochwalne. Jako żywo nic jeszcze tak małym królewnom nie smakowało, jak ciemne, wonne ciasto w dziwnych formach wypieczone.

I nawet sam Król Jegomość raczył spróbować i pochwalić, a potem spytał:

— Któryż to mistrz te pyszności wypiekał?

Pokłonił się Bartłomiej i na Bogumiła wskazał.

— Tenże to mój czeladnik — rzekł sprawiedliwie.

Pokręcił król jeszcze głową nad oną przedziwną smakowitością pierníka i zaraz pisarza koronnego zawołał, aby przywilej królewski nadany dla miasta Torunia zapisał. Według zaś tego przywileju mieszkańcy miasta Torunia otrzymali po wszystkie czasy prawo wypiekania pierników miodowych i wysyłania ich do wszystkich innych miast, a zwłaszcza na jarmarki do Królewca.

Działo się to zaś wszystko w Roku Pańskim 1557 i aż po dzisiejszy dzień mistrzowie piekarscy w Toruniu z przywileju tego korzystają i według Bogumiłowego przepisu po dziś dzień pierniki miodowe w przepięknych formach wypiekają.

Trzeba by tylko jeszcze na zakończenie rzec, co dalej z czeladnikiem Bogumiłem się działo, ale po cóż opowiadać, kiedy od razu wiadomo było, że wobec królewskiej łaski już nikt nie przeszkodzi mu w ożenku z piękną Rózią i że w szczęśliwości i dostatku będzie żył potem przez długie lata.

Maria Krüger

WIDOKÓWKA STAREGO TORUNIA

Wśród wieżyc, murów i blanków
zmieniły wieki gród owy,
miasto krzyżackich zamków
w miasto pierników miodowych.

Staruszka-kamieniczka
przysiadła w cieniu zaułka,
przyciasna dziś ta uliczka,
bruk śmieszny, okrągły jak bułka.

Szybami ze złota, z czerni,
zerka w Rynek, w tę stronę,
gdzie niegdyś mały Kopernik
patrzał w Słońce zaćmione...

Tym Słońcem w dzień się radując
lśni kamieniczka babunia,
a nocą w gwiazdy wstępują
gotyckie wieże Torunia.

Jan Gałkowski
Fot. Janina Gardzielewska

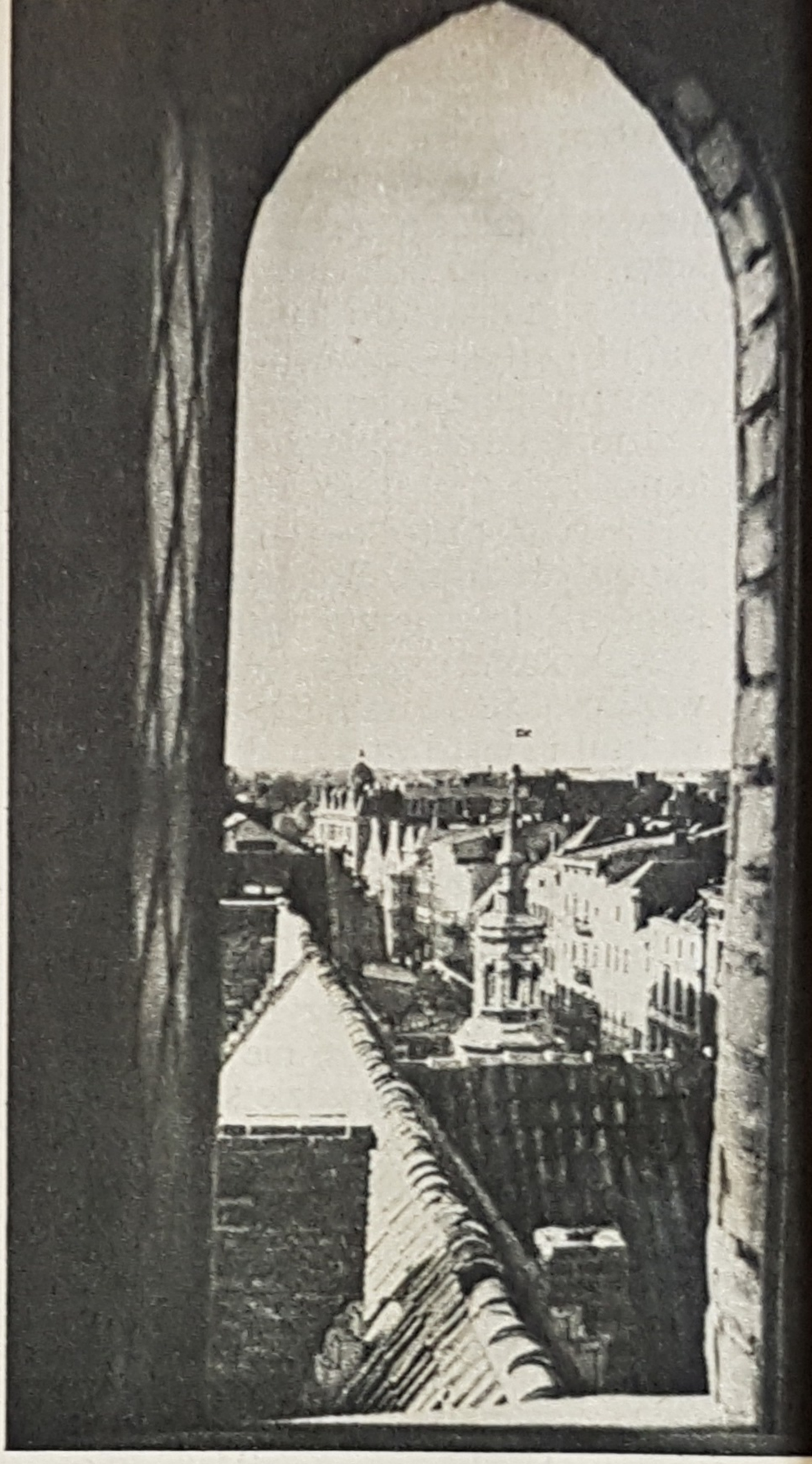

Fot. Stefan Deptuszewski

NASZE LEKTURY

O PSIE, KTÓRY JEŹDZIŁ KOLEJĄ

(Ciąg dalszy z nr 22)

XII

— Czy to ty jesteś tym słynnym Lampo? — spytał kelner wagonu restauracyjnego. — Poznaję cię z fotografii — powiedział.

Pospieszny pociąg mijał właśnie stację w Sapri. Było to daleko za Neapolem.

— Bardzo się cieszę, że przyszedłeś do mnie — odezwał się kelner.

Lampo dał się pogłaskać. Usiadł grzecznie na podłodze w korytarzyku. Kelner przyniósł mu kawałek mięsa na podstawce.

„Takiego psa nie widziałem jeszcze nigdy w życiu" — pokręcił głową. — „Jesteśmy oddaleni prawie tysiąc kilometrów od tej jego Marittimy — pomyślał. — W jaki sposób to psisko przesiadło się na nasz pociąg? Musiał przecież przesiąść się w Rzymie..."

Pies kończył posiłek. Zlizał resztki jedzenia i odsunął delikatnie talerz. Pokiwał przyjacielsko ogonem i zaczął się łasić. Kelner pogładził go po głowie.

— Che posse fare per lei? Co mogę jeszcze uczynić dla pana? — roześmiał się. — Capisce cio che dico? Czy pan mnie rozumie? Nie prześpi się pan po obiedzie?

Zaprowadził psa do przedziału służbowego i przygotował mu posłanie. Potem zamknął starannie drzwi.

„Chciałbym mieć tego kundelka — myślał. — Tylko gdzie bym go hodował? Całe życie spędzam w pociągu..."

Wyszedł na korytarzyk i stanął przy oknie.

„Właściwie po co on jeździ?" — zaczął się zastanawiać.

„Lubi zwiedzać obce miasta" — odpowiedział sam sobie. Czuł, że nie jest to właściwa odpowiedź.

„A może szuka dawnego właściciela? — mruknął. — Może nie potrafi o nim zapomnieć? To całkiem prawdopodobne...."

Zamyślił się. Jak inni, usiłował wyjaśnić sobie powód niezwykłych wędrówek psa. Skąd jednak można było wiedzieć, który domysł jest trafny?

„Może lubi ruch — pomyślał znowu. — Lubi pęd pociągu i turkot kół, które dudnią pod podłogą. Są przecież psy, które podróżują nawet rakietami".

Pokręcił głową. Wiedział dobrze, że słynne pieski nie wsiadały przecież same do rakiet. Wysyłali je ludzie... Jak bagaż...

— Tego nikt nie wysyłał — szepnął. — I w tym cała zagadka... Naprawdę, trudno ją rozwiązać...

— Carlo! — zawołał z głębi wagonu kucharz. — Goście czekają na ciebie.

Kelner poszedł między stoliki, przy których siedzieli zgłodniali podróżni, i zaczął odbierać zamówienia. Ale był roztargniony jak nigdy... Ciągle myślał o małym włóczędze.

W Reggio, daleko na południu, tam gdzie jest sam szpic włoskiego buta, pociąg zatrzymał się. Kelner, który zdążył już obsłużyć wszystkich gości, odsapnął. Postanowił zajrzeć do psa.

Drzwi przedziału służbowego były uchylone...

„Nie zamknąłem dokładnie" — pomyślał kelner. Wszedł do przedziału. Nagle zaniepokoił się.

Psa nie było.

Lampo wysiadł z pociągu jeszcze w miejscowości Paola. Jaki miał plan, nie wiadomo. Może uznał już, że czas wracać?

Dłuższą chwilę kręcił się po stacji. Nie zwracano na niego uwagi. Być może w Paoli nikt jeszcze o nim nic nie słyszał. I o najsłynniejszych ludziach nie wszyscy i nie wszędzie wiedzą, cóż dopiero o psie.

Lampo czekał spokojnie na pociąg. Instynkt nie omylił go — udało mu się trafić na peron, z którego odchodził ekspres w kierunku północnym. Sporo pasażerów czekało na ten pociąg. Gdy nadszedł, zaczęli się tłoczyć przy wejściach do wagonów. Lampo usiłował wślizgnąć się między wsiadających, ale odpychano go. Wreszcie, kiedy pociąg ruszał, udało mu się wskoczyć na stopień. W tej chwili uczuł przeszywający ból. Automatyczne drzwi wagonu zatrzasnęły się i ścisnęły go jak kleszcze.

Był tak oszołomiony, że nie wydał z siebie głosu.

— Pies!— krzyknęła jakaś pani. — Patrzcie, co się dzieje z tym psem! Zadusi się!

Lampo zwiesił głowę. Z oczu ciekły mu łzy.

— Ratunku! — krzyczała pani. — Zatrzymajcie pociąg!

Jakiś pasażer w głębi wagonu, nie wiedząc o co chodzi, pociągnął za rączkę hamulca. Pociąg stanął.

Zrobiło się zamieszanie. Konduktorzy zbiegli się, aby zbadać, co się stało. Pasażer, który zatrzymał pociąg, ocierał pot z czoła i tłumaczył się.

— Przecież ktoś wołał o ratunek! Działałem w dobrej wierze.

— To chodzi o psa — wyjaśniła pani.

— Jakiego psa?

Wszyscy rozejrzeli się dookoła.

— Nie ma go!

— Zapłacicie karę — powiedział konduktor. Odezwały się wzburzone głosy. Także i we Włoszech ludzie potrafią się kłócić.

O psie zapomniano.

XIII

Lampo miał złamane dwa żebra i nogę. W chwili, gdy pociąg zatrzymał się, a drzwi uchyliły się, upadł na tor i zsunął ze stromego nasypu. Ostatkiem siły poczołgał się do kępy krzaków rosnących w rowie. Wpełzł pod liście. Dlatego nie mogli go zobaczyć pasażerowie pociągu.

W dwie godziny później znalazła go jakaś wieśniaczka, która pędziła osła. Usiadła akurat pod krzakiem, aby odpocząć.

— A kto cię tak oporządził, chudziaku? — spytała. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła psa. Patrzył jej w oczy, jakby prosił o ratunek. Zbadała jego rany.

Poczuła taką litość, że o mało się nie rozpłakała. Delikatnie podniosła Lampo i wsadziła go do wielkiego kosza, umocowanego na grzbiecie osiołka.

— Już się mój Pietro tobą zajmie — mruknęła. Mąż jej był owczarzem i umiał nastawiać złamane kości. Zaopiekował się Lampo. Nie wróżył mu jednak długiego życia.

— Okrutnie pobity — powiedział. — Może się wyliże, ale nie widzi mi się, aby tak było. — Pokręcił głową. Zabandażował psa jak kukłę.

Lampo chorował bardzo długo. Dopiero po miesiącu zaczął chodzić po podwórku. Utykał ciągle na nogę.

— To mu już chyba zostanie — mruczał owczarz. — Noga rozprostuje się jeszcze, ale i tak będzie krótsza.

Masował psu łapę. Lampo lizał go po ręce. Przywiązał się do tego człowieka. Ale w sercu czuł dziwny niepokój. Kiedy zasypiał, nawiedzały go jakieś sny, bo skomlił jak małe szczenię.

Starzy karmili go, czym mogli. Chociaż byli biedni, nie żałowali mu mleka i kaszy. Razu pewnego, gdy zabili kurę, dali mu spory kawałek mięsa. Jednak taka uczta nie trafiała się co dzień.

Przyszła już zima. Tego roku była ostrzejsza niż zwykle. Nawet na Południu spadł śnieg. A deszcze lały bardzo często. Lampo wolał siedzieć w chałupie. Miał wygodne legowisko obok kuchennego pieca.

— No i jak tam, piesku? — pytała gospodyni. Bardzo polubiła tego znajdę.

— Nie mamy dzieci ani wnuków — mówiła. — Ale mamy ciebie, chudzino.

Patrzył jej w oczy. Kochał tych ludzi i czuł, że nie może ich opuścić. Nie odzyskiwał jednak spokoju. Robił się coraz smutniejszy i bardziej apatyczny.

— Przyjdzie wiosna, piesku — pocieszała go kobieta. — Cni ci się za zieloną trawą, wiem. Przyjdzie wiosna, to ozdrowiejesz. A może już dziś pobiegałbyś po polu? — Otworzyła drzwi.

Nie ruszał się z posłania.

— Słabyś jeszcze jak mucha — pokiwała głową staruszka.

XIV

Początkowo zawiadowca nie martwił się, gdy Lampo znowu się zawieruszył. Zdarzało się to przecież nie pierwszy raz. Wiedział, że pies, choćby zawędrował daleko, wróci po kilku dniach. Lecz po tygodniu zaczął się poważnie niepokoić.

Dzwonił już kilkakrotnie do wielu kolegów, ale na żadnej stacji nie widziano psa.

— Mogli go ukraść i wywieźć nie wiadomo gdzie — mruczał bufetowy. Ten człowiek wszystko zawsze widział w ciemnych kolorach.

— Mogli go ukraść — wzdychali kolejarze. Chodzili smutni i przyglądali się uważnie przejeżdżającym pociągom.

— Mam pomysł — powiedział któregoś dnia zastępca. — Może zwrócilibyśmy się o pomoc do znajomego redaktora? Nie możemy dzwonić bez końca na wszystkie dworce. A jeśli ogłosimy komunikat o psie w gazecie, to przeczytają nie tylko kolejarze.

Zawiadowca skorzystał z rady kolegi i zadzwonił do redakcji. W kilka dni później w gazecie ukazał się komunikat o zaginionym psie wraz z jego fotografią. Artykuł przeczytało bardzo wiele osób. Kilku czytelników napisało do redakcji gazety, że widziało psa.

„Mam pieska, który się przybłąkał — zwierzała się pewna staruszka z Mediolanu. — Ale ten pies nie ma pręgi na grzbiecie". — „Zaopiekowałem się osieroconym szczeniakiem — donosił jakiś pan. — Jest to młody buldog. Czy Lampo jest buldogiem?" — pytał pan, chociaż powinien był wiedzieć z opisu umieszczonego w gazecie, jak wyglądał zaginiony pies.

Prawie wszystkie listy pochodziły od ludzi albo roztargnionych, albo nieuważnych. A niektórzy korespondenci pisali, bo chcieli wyrazić

kolejarzom swoje szczere współczucie.

Szczególnie miły był zbiorowy list uczniów pewnej szkoły w Turynie. Napisali oni wprost na stację.

„Bardzo nam przykro, że Lampo zginął — tak zaczynał się list. — My dobrze rozumiemy pana zmartwienie. W naszej szkole w zeszłym roku także był pies, który mieszkał u dozorcy. Bardzo go lubiliśmy, ale pies wpadł pod samochód..."

List był bardzo serdeczny, lecz kolejarzy nie pocieszył. Przeciwnie, posmutnieli jeszcze bardziej.

Redaktor gazety po kilku tygodniach umieścił jeszcze jedno ogłoszenie. I tym razem nie pomogło. Ani ten, ani poprzedni numer gazety nie trafił do małej wioski na południu Włoch. Zresztą starzy ludzie, którzy przygarnęli Lampo, nie czytali dzienników...

Przyszła wiosna. Wybuchła od razu, jak to bywa w Kalabrii. Pewnego dnia zazieleniły się drzewa, a migdałowce i magnolie pokryły się różowymi kwiatami.

Lampo przyszedł już zupełnie do sił. Całymi dniami wylegiwał się w słońcu lub łaził po podwórku. Ciągle był smutny.

— Dziwny stwór z ciebie — mruczał jego opiekun. — Powinieneś skakać jak pies, a łazisz jak ślimak. Przecież kulas cię już nie boli?

Lampo kładł łeb na kolanach staruszka i patrzał mu w oczy.

— Co cię gnębi? — pytał owczarz. — Nie martw się, nie zginiesz. Żebym wiedział, co ci jest, tobym ci pomógł. Ale nie wiem...

Podejrzewał jednak, że pies musi tęsknić za dawnym opiekunem. Toteż nie zdziwił się, gdy któregoś dnia Lampo zniknął i nie pokazał się więcej.

— Ano cóż — powiedział stary. — Tak już widać musiało być. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego...

— Nie frasuj się — pocieszał żonę, która ocierała nos w fartuch. Bardzo zmarkotniała po stracie psa.

— Nie frasuj się — mruczał. — Jakby mu źle było u dawnego pana, to by do niego nie wracał. A jeśli chciał wrócić, to znaczy, że mu tam było dobrze...

Udało mu się po jakimś czasie uspokoić staruszkę. Ale psa wspominali oboje jeszcze bardzo długo...

XV

Zawiadowca siedział w kancelarii, gdy Lampo wszedł i zbliżył się cicho do stołu. Trącił pana w rękę wilgotnym nosem i usiadł u jego nóg. Drżał na całym ciele.

— Lampo — wyszeptał człowiek. Podobnie jak pies, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Obu łomotały serca.

W kilka minut później o powrocie psa wiedziała już cała stacja. Kolejarze stłoczyli się w małym pokoju i podawali sobie ulubieńca z rąk do rąk.

— Jaki zmizerowany! — użalał się bufetowy.

Niektórzy ocierali ukradkiem łzy. Lampo ocknął się wreszcie z odrętwienia i zaczął

skakać. Biegał od przyjaciela do przyjaciela, szczekał i piszczał.

— Opowiadasz o swoich przygodach? — śmiali się ludzie. — O, bracie, gdybyś umiał mówić...

Zawiadowca zawiózł wieczorem psa do Piombino. Aby przygotować dzieci na dobrą nowinę, posłał do domu znajomego dróżnika, Sam poczekał z psem na stacyjce.

Dróżnik sprawił się jak należy. Najpierw zmrużył oko, a potem wypalił od razu:

— Co byście zrobili, gdyby tak Lampo wrócił?

— Widział go pan? — spytał podejrzliwie Roberto.

— Nie widziałem — powiedział sprytnie dróżnik — ale gadają ludzie, że on już jest.

— Nie wierzę — pokręcił głową chłopiec.

— Nie wierzysz? To chodź! — zaśmiał się dróżnik.

Dzieci pobiegły pędem na stację. Lampo wyrwał się panu i popędził im naprzeciw. Wpadli na siebie i odtańczyli przed domem taniec radości. Malutka Adele, która zaczynała już chodzić, wyszła na próg. Objęła psa za szyję.

— Zostaniesz dzisiaj z nami — mówiły dzieci. — Bo jak nie, to pogniewamy się na zawsze. Gdzieś był tak długo?

Roberto bawiąc się z przyjacielem zauważył zgrubienie na jednej z jego łap. Pokazał je ojcu.

— To ślad złamania — stwierdził zawiadowca, przyjrzawszy się dokładniej nodze. Pokiwał głową.

— Teraz rozumiem, dlaczego nie było go tak długo — mruknął.

Następnego dnia na stację w Marittimie przyjechał jakiś nieznany kolejarz. Jak się okazało, właśnie on przywiózł Lampo wczorajszym pociągiem..

— Wiedziałem, że to wasz pies — powiedział do zawiadowcy. — Wysadziłem go tutaj, ale chciałbym go jeszcze zobaczyć. Mam dzisiaj wolny dzień, więc wstąpiłem...

Opowiadał, że psa przekazał mu kolega, który przyjechał daleko z Południa. Kolega ten słyszał kiedyś o wypadku psa i pamiętał go z pociągu. Potem o nim zupełnie zapomniał, ale poznał go, kiedy przed tygodniem Lampo zaczął odwiedzać dworce w Reggio, Palmi, Paola i Sapri. Pies błąkał się od jednej stacji do drugiej, jakby szukał czyjegoś śladu. Wreszcie trafił na pociąg idący do Rzymu. Wtedy przypomniał go sobie kelner z wagonu restauracyjnego. On właśnie poradził konduktorowi, aby w Rzymie przesadzić psa na pociąg turyński.

— Gdzie Lampo miał ten wypadek? — spytał zawiadowca.

— W Palmi albo w Reggio. Nie wiem tego dokładnie. — powiedział kolejarz. — W każdym razie daleko stąd...

Gość pobawił się z Lampo, posiedział jeszcze godzinę i pojechał. Tego samego dnia zadzwonił znajomy redaktor, który dowiedział się już o powrocie małego podróżnika. To, co teraz usłyszał, bardzo go zaciekawiło. Zapowiedział, że zjawi się nazajutrz.

W dwa dni potem ukazał się artykuł ozdobiony zdjęciem psa. Były tam także podobizny kolejarzy, a nawet zdjęcie domu zawiadowcy i fotografie jego dzieci.

„Lampo, który zawsze wraca" — brzmiał tytuł artykułu. Redaktor przypomniał raz jeszcze o niezwykłych zamiłowaniach psa i pochwalił jego prawie ludzki rozum. Powrót Lampo z dalekiego Południa został opisany tak pięknie i ciekawie, że czytelnicy wyrywali sobie gazetę z rąk. Potem posypały się listy do redakcji. Dzieci i dorośli zaczęli coraz natarczywiej domagać się, aby napisać im więcej o cudownym psie. Także zawiadowca dostał sporo listów z rozmaitymi zapytaniami i prośbami o fotografie Lampa. Oczywiście nie mógł wszystkim odpisywać...

Wkrótce na stacji zjawili się wysłannicy rzymskiej telewizji. Nakręcili całą rolkę filmu. radio zaczęło nadawać kolejne audycje o psie-podróżniku. Jeden z muzyków skomponował piękną piosenkę i dał ją nagrać na płytę. Po miesiącu wszyscy Włosi znali jej melodię. Była bardzo wesoła, a w jej refrenie powtarzało się szczekanie psa.

Pewnego wieczoru przed domkiem zawiadowcy w Piombino zatrzymała się elegancka czarna limuzyna. Wysiadł z niej jakiś pan.

— Jestem amerykańskim filmowcem — powiedział. — Chcę kupić tego psa.

— On nie jest na sprzedaż — powiedział zawiadowca.

— Dam pięćdziesiąt dolarów — uśmiechnął się pan.

— Nie rozstanę się z Lampo — wzruszył ramionami kolejarz.

— Sto dolarów?

— Nie.

— Pięćset — powiedział filmowiec. Wyjął portfel. Ale zawiadowca pokiwał przecząco głową.

— Źle pan robi — mruknął Amerykanin. — Krzywdzi pan psa, któremu u mnie powodziłoby się lepiej. Okrada pan siebie i swoją rodzinę...

— Nie mogę się z nim rozstać — powiedział zdecydowanie kolejarz.

Amerykanin bez słowa wsiadł do limuzyny i zatrzasnął drzwiczki.

XVI

Naczelnik z dyrekcji kolejowej, który wezwał do siebie zawiadowcę, był w bardzo złym humorze. Chodził po swoim gabinecie i marszczył brwi. Kiedy zawiadowca wszedł, powitało go groźne milczenie. Kolejarz stanął przy biurku.

— Domyśla się pan, o co chodzi? — spytał wreszcie przełożony. Zawiadowca pobladł.

— Tak — powiedział.

— Trzeba z tym skończyć! — wybuchnął naczelnik. — Kolej, drogi panie, nie jest ani cyrkiem, ani ogrodem zoologicznym. Dworce nie są i nie mogą być przytułkami dla zwierząt!

Kolejarz milczał.

— Nawet lubię psy — powiedział łagodniejszym tonem naczelnik. — Ale nie mogę pozwolić, aby na pańskiej stacji działy się takie rzeczy jak ostatnio... Nie możemy dostarczać rozrywek publiczności. A tymczasem Marittima stała się już wesołym miasteczkiem. Może pan zacznie sprzedawać bilety wstępu?

Naczelnik zaczynał wyraźnie kpić. Zawiadowca wiedział, że nie jest to właściwie zły człowiek. Miał jednak opinię służbisty i lubił za takiego uchodzić. I, co tu gadać, racja była teraz po jego stronie... Sprawa Lampo stała się zbyt głośna...

— Widziałem niedawno fotografię tego psa — mruknął naczelnik. — Jakiś dowcipniś sportretował go z kolejową czapką na łbie i fajką w pysku. Czy pan nie uważa, że to godzi w powagę naszego munduru?

— Tak — powiedział zawiadowca. — Ale nie ja kazałem zrobić to zdjęcie...

— „Lampo przy semaforze". „Lampo w czasie służby". „Lampo w wagonie restauracyjnym" — zaczął wyliczać naczelnik. — Sądzę, że nie robił pan żadnego z tych zdjęć... Ale odpowiada pan za wszystko, co się dzieje na dworcu... Tak czy nie?

— Tak, panie naczelniku — pochylił głowę kolejarz.

— Mógłbym pociągnąć pana do odpowiedzialności — sapał naczelnik. — Nie zrobię tego... Ale, krótko mówiąc, musi pan usunąć psa ze stacji... To wszystko. Żegnam.

Kolejarz skłonił się i skierował do wyjścia. Na progu dobiegło go kaszlnięcie.

— Proszę poczekać — powiedział cichym głosem naczelnik. — Przecież nie zmuszam, aby wyrzucał pan psa na bruk. Może go pan zatrzymać u siebie w domu... Oczywiście pod warunkiem, że weźmie go pan na łańcuch... Można go zresztą oddać w dobre ręce... Sądzę, że znalazłoby się wielu ludzi, którzy wzięliby chętnie takiego psa...

— Postaram się zrobić tak, aby nie było już

Rys. Wanda Orlińska

powodów do skarg — powiedział cicho zawiadowca.

— Dziękuję — mruknął przełożony. Podał kolejarzowi rękę.

Po wyjściu z gabinetu zawiadowca otarł chustką czoło. Idąc na stację był tak zamyślony, że potrącał przechodniów.

Nie patrząc na ludzi wsiadł do pociągu. Miał teraz czas na rozmyślania aż do samej Marittimy...

„Zatrzymać psa w domu?" — zastanawiał się. Nie, wiedział, że to niemożliwe. Lampo czułby się bardzo nieszczęśliwy na łańcuchu. Nie przeżyłby takiej niewoli...

„Sprzedać? — Opuścił głowę. — Nie sprzedaje się przyjaciół" — mruknął.

Można było jedynie wysłać psa bardzo daleko i zapewnić mu w nowym miejscu troskliwą opiekę... Zawiadowca zaczął zastanawiać się, czy zna kogoś, komu mógłby powierzyć, Lampo. Myślał długo. Ale gdy pociąg dojeżdżał do stacji, wiedział już, co zrobi. Przypomniał sobie, że na Sycylii ma starego wuja. Poczciwiec mieszka w Palermo...

„Tak, to jedyne wyjście z sytuacji" — pomyślał kolejarz. Wuj od wielu lat był wdowcem, kochał zwierzęta i posiadał piękny ogród. A Sycylia, jak wiadomo, jest wyspą...

„Lampo będzie musiał tam zostać — mruknął. — Nie wróci..."

(Dokończenie w następnym numerze)

PIERNIKOWE MIASTO

Co rok w noc Trzech Króli
krótko przed dwunastą,
Toruń się zmienia
w piernikowe miasto.

Piernikowy anioł
fruwa ponad grodem,
rzuca z chmur pierniki
woniejące miodem.

Na rynku wyrasta
piernikowe drzewo,
jabłko zeń piernicze
zrywa Adam z Ewą.

Niosą zza Łaziennej
i Żeglarskiej Bramy
wiadra na nosidłach
piernikowe damy.

I król piernikowy
co roku tej nocy
przed Ratusz zajeżdża
w poszóstnej karocy.

Piernikowy hajduk
otwiera mu drzwiczki,
witają monarchę
mieszczanki-pierniczki.

Dmuchają trębacze
w puzony z piernika
i trwa aż do rana
baśniowa muzyka.

I trwa aż do brzasku
(wierzcie lub nie wierzcie)
zabawa pierników
w piernikowym mieście.

Piernikowe gwiazdy
wschodzą nad wieżyce,
w tańcu mrużą słodko
migdałki — źrenice.

Pachnie cały Toruń
jak kram piernikarski

Rys. Jerzy Flisak

pląsają pierniki
po Ciasnej, Żeglarskiej..

Tańczy na Różanej
ludek piernikowy,
tańczy na Piekarach,
na Woli Zamkowej.

Weseli się miasto,
aż którejś godziny
świt wkroczy w uliczkę
Świętej Katarzyny...

Aż ząbkami zorzy
schrupie dzień łakomy
piernikowych ludzi,
piernikowe domy.

Franciszek Fenikowski

JAK FLISACZEK SZYMEK WYPROWADZIŁ ŻABY Z TORUNIA

Dawno temu w Toruniu zagnieździło się bardzo dużo żab. Żaby pojawiały się wszędzie — na ulicach, w domach, na łóżkach, na talerzach... W mieście zapanował niepokój. Toruńczycy nie wiedzieli, co robić. Wybuchło ogólne zamieszanie.

Najbardziej tym wszystkim zakłopotany był burmistrz miasta. Zupełnie nie wiedział, jaką znaleźć radę na tę plagę. Wydał apel do wszystkich, a szczególnie do mężczyzn. Kto znajdzie sposób i uwolni miasto od żab, otrzyma piękną córkę burmistrza — Kasię za żonę i woreczek złota.

Znalazło się kilku odważnych, przemyślnych młodzieńców. W różny sposób walczyli z żabami, lecz bez skutku. Mieszkańców Torunia coraz bardziej ogarniała rozpacz, co będzie dalej?

Aż tu pewnego dnia przypłynęli do Torunia flisacy, a wśród nich był Szymek, który grywał na skrzypcach.

Toruńczycy co rychlej opowiedzieli

flisakom o swoim kłopocie. Długo wspólnie radzono. Tylko Szymek nie zabierał głosu, siedział i rozmyślał: „Muszę znaleźć sposób na żaby". I znalazł.

Wziął swoje skrzypce, stanął obok Ratusza i zaczął grać, a grał tak pięknie i donośnie, że w każdym zakątku miasta było słychać jego dźwięczną melodię.

I naraz z wszystkich stron wokół Szymka zaczęły gromadzić się żaby. A jak się tylko poruszył, to żaby szły za nim. Szymek dalej grał i szedł powolutku, a wszystkie żaby za nim.

I tak oto flisaczek wyprowadził żaby z Torunia poza mury miasta i uratował mieszkańców od żabiej plagi.

Ale to jeszcze nie koniec. Burmistrz dotrzymał słowa, ale powiedział tak: „Szymku, flisaczku, uratowałeś nas, należy ci się nagroda. Zostaniesz u nas, poślę cię do szkół, a Kasia na ciebie poczeka".

I tak się stało. Po paru latach odbyło się uroczyste wesele w sali Mieszczańskiej w Ratuszu pięknej burmistrzanki Kasi z Szymkiem-flisaczkiem, który w Toruniu znalazł swoje szczęście.

Na rynku w Toruniu stoi teraz figura Szymka-skrzypka. Szymek gra na skrzypcach wszystkim, a szczególnie dzieciom, żeby były zawsze wesołe.

Stanisław Olechniewicz
Rys. Teresa Jaskierny

FLISACZKOWA PIOSENKA

Na Wiśle,
między niebem a lądem,
płynie flisaczych tratw rząd.
Od gór do morza z prądem,
od morza do gór
pod prąd.

— Hej, wieziemy,
wieziemy
z całej polskiej ziemi
do Gdańska
kłody drzewa.
W dzień i w nocy
na tratwie,
życie nasze niełatwe
raz upał,
raz ulewa.
Kto się wody
nie lęka,
kto się zimna
nie lęka,
kto nie boi się pracy —
tego zaprasza
nasza piosenka.
Do nas prosimy —
flisacy.

Edward Szymański

W TORUŃSKIEJ GALERII

W XIV-wiecznej kamieniczce przy Rynku Nowomiejskim mieści się powołana w 1962 r. Galeria i Ośrodek Plastycznej Twórczości Dziecka.

Trzy podstawowe zadania Galerii to:

- **— gromadzenie różnych form twórczości plastycznej dzieci**
- **— wystawiennictwo**
- **— prowadzenie doświadczeń nad treścią i metodami wychowania plastycznego.**

Jak powiedziała nam pani Zofia Karpińska-Zając, kierowniczka Galerii, zgromadzono tu dotąd ok. 150 tysięcy różnych prac. Tych wykonanych na miejscu w pracowni plastycznej, i tych nadsyłanych na różne konkursy.

Ostatnim konkursem, którego plon obejrzeliśmy na wystawie w Galerii, było V Międzynarodowe Biennale Grafiki Dziecięcej — Toruń 1986 — Polska. Nadesłano 8463 prace z 534 ośrodków z 32 państw, m. in. z Chin, Holandii, Islandii, Argentyny... Do wystawy zakwalifikowano 862 prace, w tym wszystkie nagrodzone i wyróżnione. Kilka z nich pokazujemy Wam na tych stronach „Płomyczka"

Nagrody przyznawano w trzech grupach wiekowych, tak jak i w grupach wiekowych prowadzone są zajęcia plastyczne w Galerii dla stu czterdzieściorga toruńskich dzieci w wieku od 6 do 15 lat.

Dzieci spotykają się w pracowni po południu. raz w tygodniu. W czasie trzech kolejnych zajęć

Pablo Munich (7 lat), Argentyna

Aneta Depkowa (8 lat), Bulgaria

Stefan Lange (10 lat), NRD

rysują na zadany temat. A na czwarte zajęcia wypożycza się z Muzeum 5—6 obrazów i omawia podobieństwa i różnice w sposobie przedstawiania pewnych elementów w pracach dzieci i obrazach znanych malarzy. Uczestnicy zajęć uczą się używać języka plastycznego, rozumieć obrazy.

W pracowni zrealizowano 2 poważne programy czteroletnie dotyczące podstawowych problemów plastycznych, jak: barwa, bryła, linia, faktura, światło, przestrzeń, ruch. I tak, dla przykładu, dzieci obserwowały różne rodzaje światła, a potem przedstawiały je malując farbami.

Różne są tematy zadawane do rysowania. Np. dwa przeciwstawne hasła: „Statyka — dynamika", „Hałas — cisza", „Dobro — zło". Przy pierwszym z tych tematów trzeba było narysować dwa obrazki: „Spokojne paski" i „Hałaśliwe paski". Do innego z tematów tytuły rysunków brzmiały: „Grzeczne parasole" i „Zbuntowane parasole". Przy temacie „Hałas i cisza" podkreślano kolory, różnicujące na rysunkach te dwa pojęcia.

Z innych ciekawych tematów wymienię jeszcze kilka: głowa muchy, oko mrówki, ziarnko maku, pestka śliwki, kropla deszczu... To wszystko da się narysować. Naprawdę! Spróbujcie i Wy. To tylko kwestia uruchomienia wyobraźni.

Maria Czernik

Xu — Fei (8 lat), Chiny

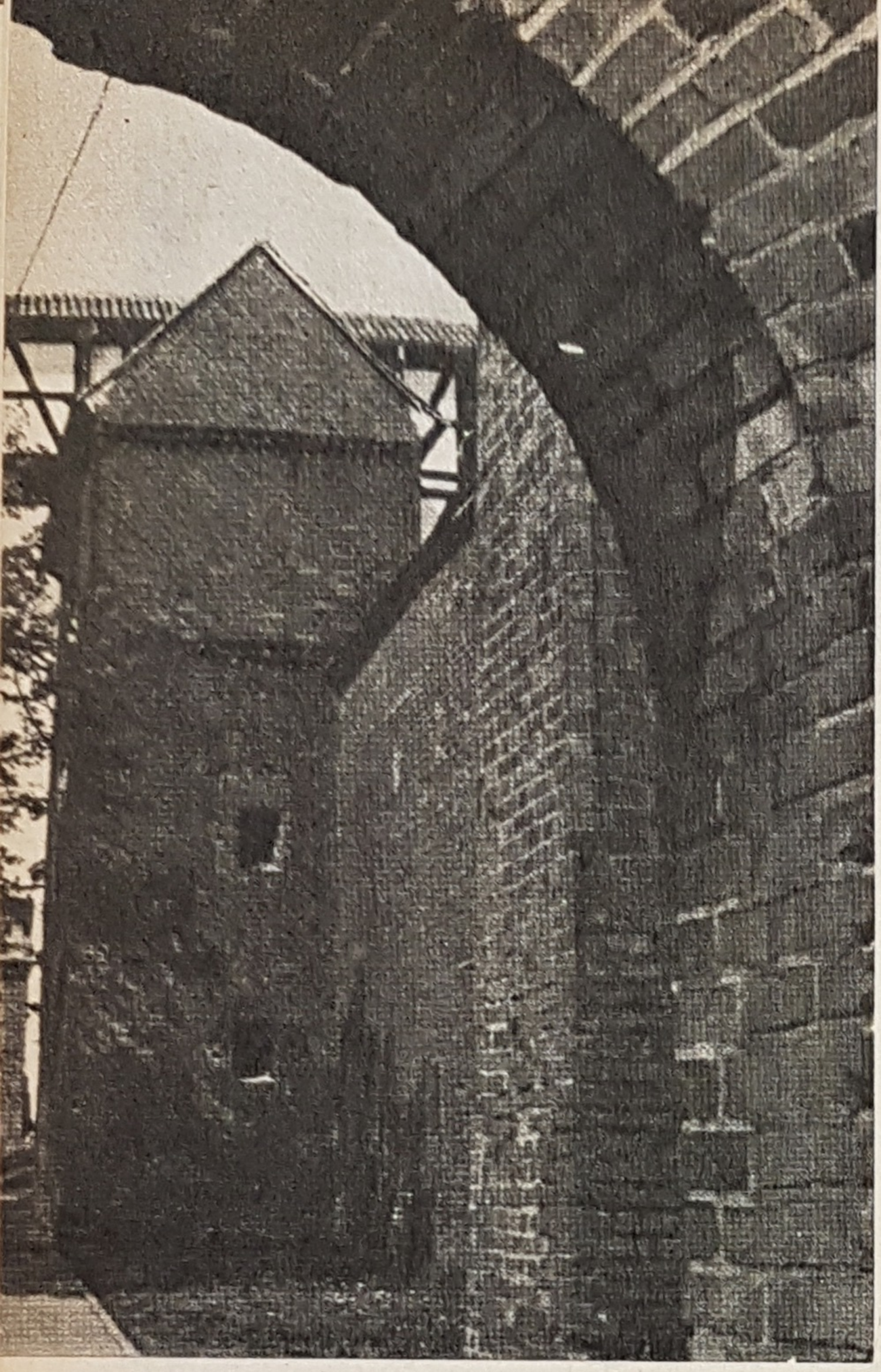

Baszta obronna z XIV w .

WIELKA ASTRONOMIA MAŁEGO KOPERNIKA

(fragment)

Biegał tu — po tych ulicach,
Jak to dzieci ze wszystkich miast,
Do pierwszego nad dachem księżyca,
Do pierwszych na niebie gwiazd.

Aż raz groza spadła na miasto,
W biały dzień,
Jak przed świata końcem,
Nie wszyscy w mieście wiedzieli,
Że to tylko —
Zaćmienie Słońca.

Mikołaj biegał po murach
Z przydymionym
Nad świecą szkiełkiem.
Patrzył w niebo
Przez szkiełko i widział
Słońce czarne i jak grosz maleńkie.

Tadeusz Kubiak

Średniowieczny Ratusz staromiejski w Toruniu

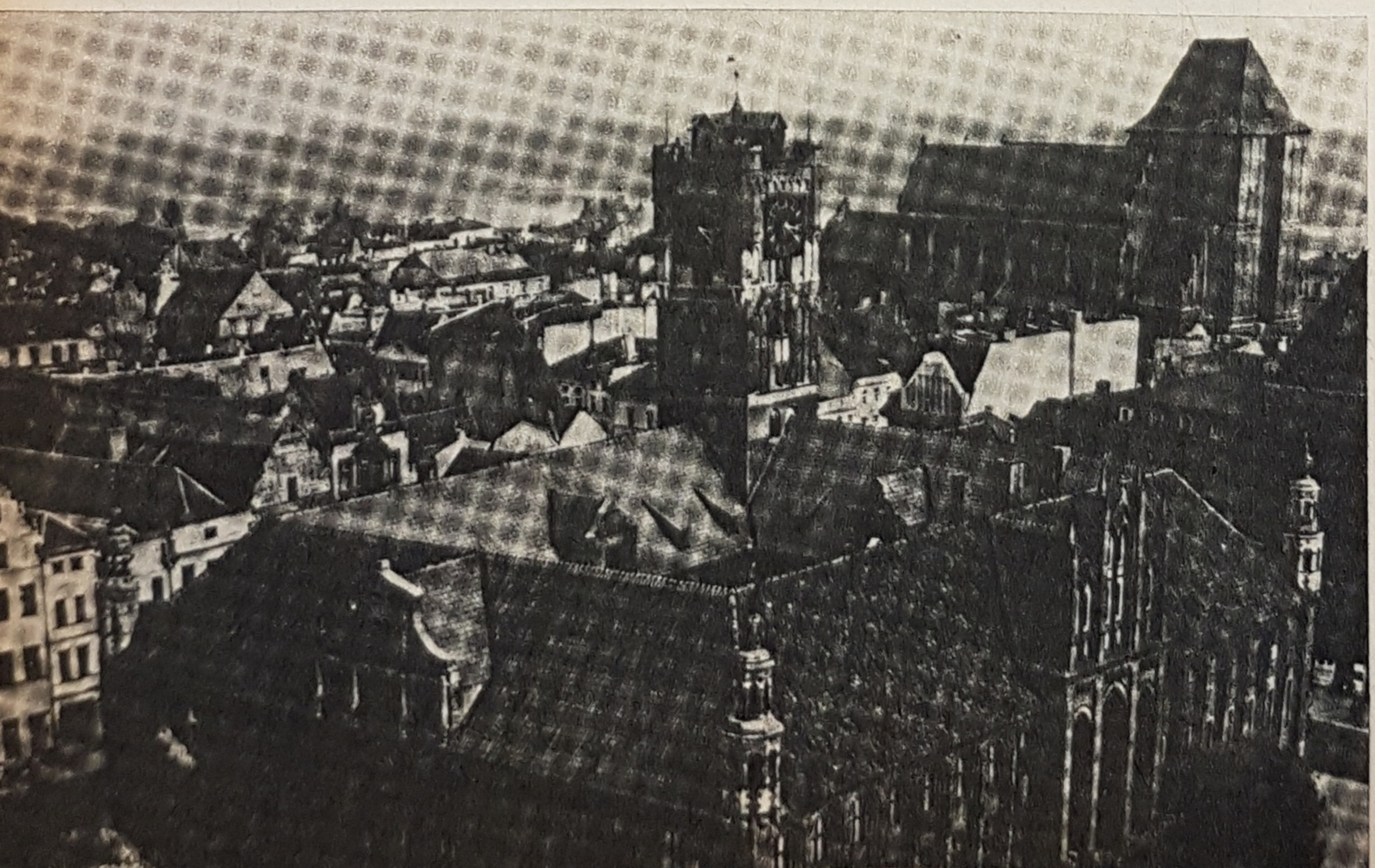

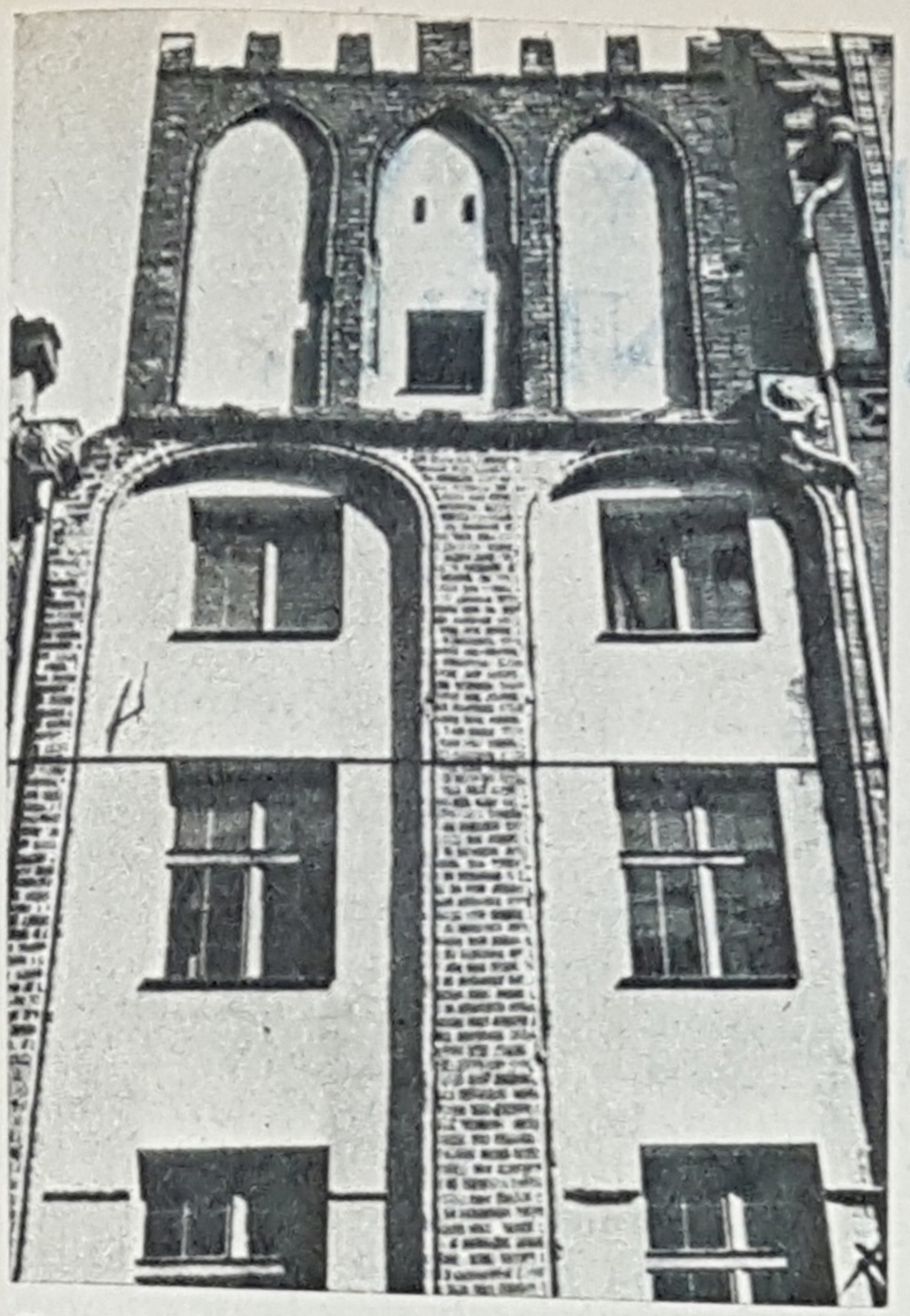

Fasada XV-wiecznej kamienicy przy ulicy Szerokiej 38

Późnogotycka fasada domu przy Rynku Staromiejskim

Brama Mostowa z 1432 r.

NOWE INICJATYWY W STAREJ SCENERII, czyli skansen w Toruniu

Skansen — to powszechnie przyjęta nazwa, jaką zwykło się określać każde krajoznawcze muzeum etnograficzne pod gołym niebem. W skansenach eksponowane są zabytki budownictwa ludowego, meble, sprzęty, tkaniny, narzędzia danego regionu. Pierwsze tego typu muzeum etnograficzne założył 95 lat temu, w 1891 roku, w sztokholmskim parku Skansen, szwedzki przyrodnik — Artur Hazelius.

Toruński skansen znajduje się w samym środku miasta. Odwiedziliśmy go nie tylko dlatego, aby pooglądać regionalne chałupy z XVIII wieku, spichrze dworskie i inne zabudowania przeniesione w ich dawnym kształcie do współczesnego grodu Kopernika — ale również po to, aby spojrzeć na historyczne pamiątki oczami dzieci specjalnej troski. Bowiem wśród tych mających ponad 200 lat sprzętów, jakimi na co dzień posługiwali się ówcześni mieszkańcy Kujaw, odbywają się zajęcia dla dzieci ze szkół specjalnych, z klas I-VIII. Te eksperymentalne zajęcia prowadzi pani Maria Pokrzywnicka.

My uczestniczyliśmy w lekcji dla klasy III i IV nt. „Praca w chacie i zagrodzie". Wasi rówieśnicy oglądali ubiory, meble, przedmioty codziennego użytku, jakimi posługiwały się dzieci sprzed dwustu laty. Dowiedzieliśmy się na tej lekcji, jak często zabawy dzieci z dawnych czasów wiązały się z licznymi obowiązkami domowymi, a ich pomoc w trudnych pracach domowych czy polowych też właśnie była na pół zabawą.

Dzieci słuchały o dawnym sposobie pieczenia

chleba, robienia masła, kiszenia kapusty czy zbierania plonów.

Podczas wakacji organizowane są takie zajęcia dla dzieci z kolonii letnich. Wówczas ta wiejska, osiemnastowieczna chałupa staje się prawdziwie „gadającą chałupą", bowiem zajęcia wzbogacane zostają odtwarzanymi z magnetofonu opowieściami o obyczajach, życiu wiejskich ludzi w dalekiej wsi kujawskiej.

Można wówczas wysłuchać baśni, legend, zagadek. Słowem, przybliżony zostaje współczesnym miejskim dzieciom dawny bogaty folklor wiejski.

Elżbieta Brzoza

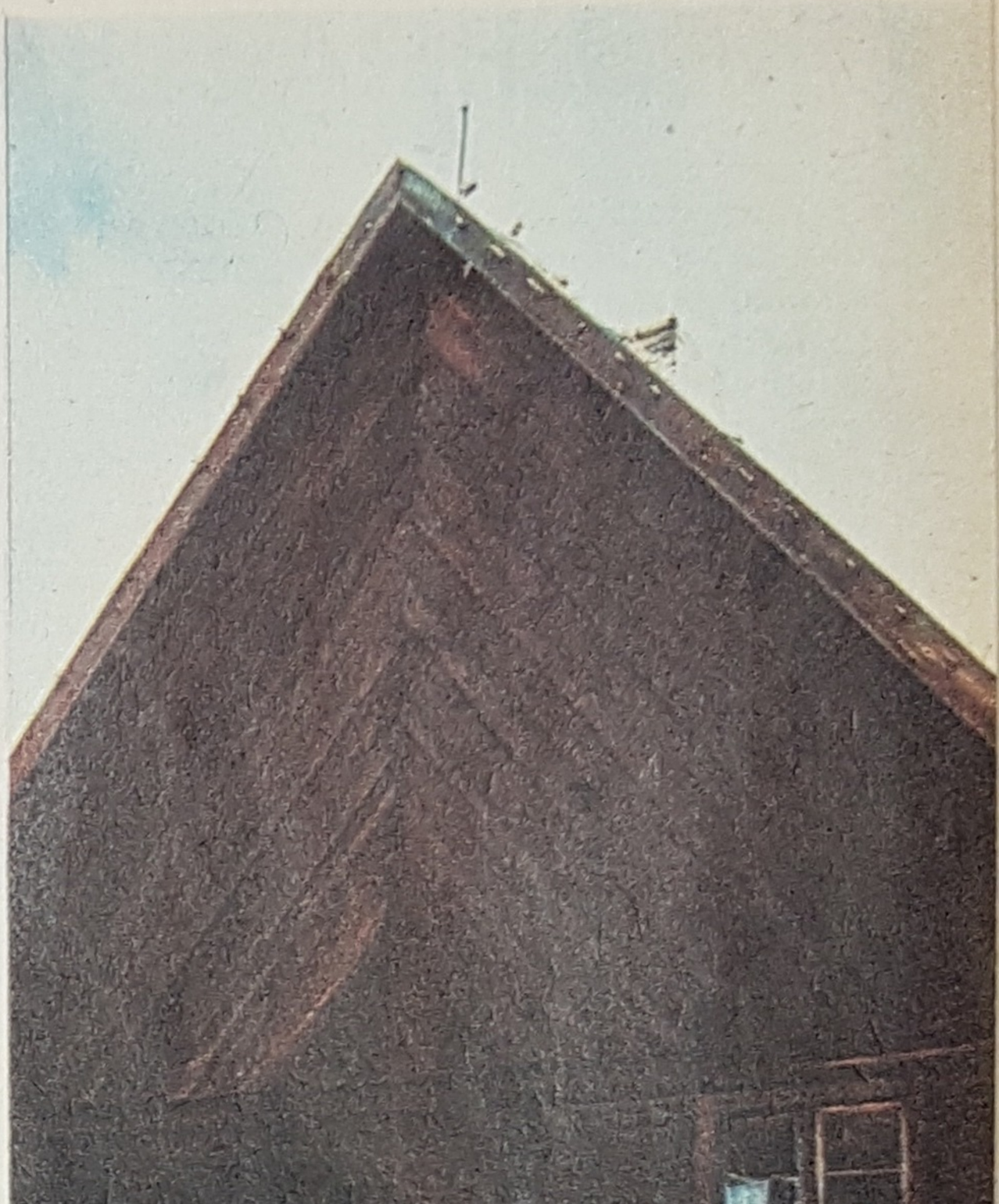

Fot. Stefan Rutkowski

KTO PRACUJE W „ELANIE"?

Z każdego z województw pokazywanych dotąd w „Płomyczku" opisywaliśmy jakiś zakład przemysłowy. Np. z konińskiego — była to huta aluminium, z kaliskiego — Zakład Ceramiki Stołowej w Kole. Tym razem gościmy w Zakładach Włókien Chemicznych „Elana" w Toruniu.

Postanowiłem jednak na ten zakład wytwórczy popatrzeć zupełnie inaczej. Nie będę zanudzać, co i jak tutaj po kolei się robi. Proces technologiczny jest długi i skomplikowany. Chcę Wam pokazać, jak wielu różnych specjalistów musi pracować w zakładzie, którego produktem końcowym jest włókno używane do wytwarzania rozmaitych towarów. W wielu fabrykach krajowych i za granicą.

„Elana" zatrudnia ok. 7000 pracowników, a sam zakład to kilkadziesiąt budynków i hal zlokalizowanych na obszarze kilku kilometrów kwadratowych. Czy to dużo? Żeby obejść je dokoła, trzeba iść ponad godzinę. Są więc na terenie Zakładów ulice — nie mają wprawdzie nazw, ale pracownicy świetnie posługują się numerami. A skoro są ulice — musi być zieleń. W należytym stanie wszystkie drzewa i trawniki utrzymuje grupa ogrodników. Budynki wymagają też napraw. Niezbędni są więc murarze, tynkarze, dekarze, stolarze i posadzkarze, szklarze i blacharze.

W przemyśle chemicznym używanych jest dużo substancji łatwopalnych, a czasami wybuchowych. Konieczna jest więc Zakładowa Straż Pożarna z bardzo specjalistycznym sprzętem.

Ilość ciepła niezbędna do prowadzenia procesów technologicznych znacznie przewyższa zapotrzebowanie niektórych osiedli mieszkaniowych. Dlatego też musi pracować w „Elanie" duża grupa energetyków — są więc palacze i operatorzy turbin. Duże kotłownie opala się węglem — więc na terenie zakładu są tory kolejowe, jeżdżą tu wagony i lokomotywy. A tym wszystkim zawiadują kolejarze.

Trudno wyobrazić sobie taki duży zakład bez samochodów i autobusów. Muszą być więc kierowcy i mechanicy samochodowi. Na terenie zakładu funkcjonują linie autobusowe. Lecz różnią się od miejskich tym, że nie trzeba kupować biletów.

A kto utrzymuje w stanie pełnej sprawności skomplikowane maszyny produkcyjne? — Ślusarze, tokarze, frezerzy, spawacze, szlifierze.

Spotkaliście się zapewne ze zwrotem: „działalność socjalna zakładu". Najprościej mówiąc, to jest wszystko to, co wiąże się ze żłobkami, przedszkolami, stołówkami, bufetami, hotelami, mieszkaniami, ośrodkami wypoczynkowymi, domem kultury, własnym ogrodnictwem i hodowlą trzody chlewnej, ośrodkami sportowymi. A więc muszą być zatrudnieni kucharze i kelnerki, ogrodnicy, instruktorzy zajęć kulturalnych, recepcjonistki itp.

Na terenie zakładu konieczne są dobre systemy łączności. Nad nimi czuwają telefoniści.

Nowoczesne duże przedsiębiorstwo nie może się obejść bez rozwiniętej techniki komputerowej. Pracować więc muszą tutaj elektronicy i informatycy. Prawidłowe prowadzenie procesu chemicznego wymaga częstego sprawdzania jakości używanych surowców. Niezbędna jest więc duża grupa chemików, którzy w laboratoriach wykonują analizy.

Są też w zakładzie zegarmistrze, drukarze,

fotograf, artysta plastyk, krawcowa, ekonomiści, księgowe, prawnicy, tłumacze, dziennikarze i maszynistki.

Dotąd nie mówiliśmy jeszcze o zawodach związanych bezpośrednio z produkcją sztucznych włókien. Jak pracują robotnicy zatrudnieni przy maszynach wytwarzających torlen i elanę, a nazywani ogólnie operatorami procesów technologicznych, obejrzeć możecie na fotografiach.

Można więc duży zakład wytwórczy porównać do miasta, w którym mieszkają ludzie różnych zawodów i specjalności. A razem ten ogromny zespół ludzi, zwany załogą przedsiębiorstwa, wytwarza włókna, z których w innych fabrykach można produkować między innymi — sztuczną skórę, zwaną polcorfanem, dzianiny, dywany, wykładziny podłogowe, firanki, śpiwory, kołdry, poduszki, pasy klinowe do maszyn, węże pożarnicze, pasy bezpieczeństwa, liny, sieci rybackie, maty do osuszania gruntów, maty termoizolacyjne i — nici chirurgiczne.

J. K.

Fot. Bogusław Malanowski

W ZEGARTOWICACH

W PGR Zegartowice pokazano nam cielętniki

Województwo toruńskie w dużym stopniu jest regionem rolniczym. Dlatego też na trasie naszej płomyczkowej wędrówki znalazło się Państwowe Gospodarstwo Rolne Zegartowice.

Jest to duży PGR niedaleko od Torunia. Zajmuje obszar ok. 4850 hektarów w trzech gminach, na terenie 11 wsi i osiedli. Uprawia się w nim przede wszystkim zboża, najwięcej jęczmienia i pszenicy, rzepak, buraki cukrowe i groch. A ponieważ jest to PGR rolno-hodowlany, część ziemi uprawnej przeznaczona jest do produkcji paszy, tzn. lucerny, kukurydzy i mieszanek, potrzebnych do karmienia inwentarza.

W PGR Zegartowice hoduje się 3100 sztuk bydła (w tym 1500 krów), ok. 6000 sztuk trzody chlewnej oraz 3,5 tys. owiec w trzech owczarniach.

Prace związane z rolnictwem, hodowlą i obsługą maszyn niezbędnych w każdym gospodarstwie rolnym — a tu jest nawet samolot do opylania pól — wykonuje 780 pracowników. W tutejszym PGR odbywają praktykę studenci krajowych i zagranicznych uczelni rolniczych.

W Zegartowicach działa

Ludowy Klub Sportowy „Ogniwo" z sekcją kolarską, szachową i piłkarską. W treningach i zajęciach odbywających się dwa razy w tygodniu mogą brać udział nie tylko pracownicy PGR, ale i inni mieszkańcy wsi. Najzdolniejsi młodzi kolarze zapisywani są do Szkoły Sportowej o specjalności kolarskiej w niedalekim Gronowie.

Pod patronatem PGR Zegartowice powstał w 1980 r. Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca Ludowego „Kundzia".

W skład zespołu wchodzą trzy grupy taneczne w wieku od 9 do 16 lat (razem ok. 100 osób) oraz kapela złożona ze studentów szkół muzycznych w Bydgoszczy i Toruniu. W „Kundzi" śpiewają i tańczą dzieci z jedenastu wsi położonych w promieniu do 12 km od Zegartowic. Chociaż niektóre z nich mają naprawdę daleko, wszyscy chętnie przyjeżdżają na próby zespołu.

Z odległego Cepna dojeżdża też pani Marianna Szulc, garderobiana, do której dzieci są bardzo przywiązane i bardzo ją lubią.

Na program trwający 90 minut składają się tańce i piosenki z różnych regionów Polski i innych krajów, np. obrazek taneczny „Kujawskie ostatki", suita nowosądecka, tańce Huculów. Zespół występował już ponad sto razy w kraju i za granicą i jest laureatem wielu festiwali folklorystycznych.

Kierownik artystyczny zespołu, pan Jarosław Wygnański przypomniał nam, że „Płomyczek" spotkał się już z „Kundzią". Było to przed dwoma laty w Kielcach, na XI Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej, kiedy to „Kundzia" otrzymała Złotą Jodłę.

Tym razem więc my, redaktorzy, opowiadaliśmy dzieciom — członkom zespołu — zgromadzonym w świetlicy o naszej pracy, o tym, jak powstaje „Płomyczek".

Maria Czernik
Fot. Stefan Rutkowski

Asia Owczyńska, Basia Stempkowska i Magda Przedlacka z zespołu „Kundzia"

OKNA

Przyjrzyjcie się uważnie domom i rosnącym przed nimi drzewom. Potem popatrzcie uważnie na okna po prawej stronie, oznaczone cyframi od 1 do 6. Teraz wyobraźcie sobie, że jesteście kolejno, wewnątrz każdego budynku i odgadnijcie, z których okien widać gałęzie drzew narysowane w ponumerowanych okienkach. Jeżeli się to Wam uda, napiszcie odpowiednie litery, z okien w trzech domach, przy właściwych okienkach oznaczonych numerami. Litery te, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie — nazwę jednej z pór roku.

T. K.

Zagadka

Zagadka, nie zagadka,
ale przyjemna zabawa;
weź pierwszą literę z rzeki
i zamiast rzeki jest kawa.
Nie można czekać ni chwili,
rzeka do Wisły ucieka,
zanim w kawę się zmieni
odgadnij, jaka to rzeka?

S.A.

SZYFROGRAM

Każdej literze alfabetu w tej zagadce odpowiadają litery od 1 do 26. Pamiętając o tym, spróbujcie odczytać szyfr, w którym ukryta jest nazwa jednego z zabytków Torunia.

11-18-34-23-22-1 22-1-5-25-1

NASZ ZWIERZYNIEC

JEŻOZWIERZ

W bardzo dawnych, biblijnych czasach żył mądry, kilkusetletni staruszek imieniem Noe. Przewidział on, że za jakiś czas nastąpi ogromny potop, który zaleje całą ziemię. Postanowił więc zbudować arkę, czyli okręt, w którym miał zamiar umieścić swoją rodzinę i krewnych oraz po jednej parze zwierząt z każdego gatunku. Noe był długowłosym, brodatym mężczyzną dbającym o swój wygląd. Gdy w czasie zasiedlania arki przez zwierzęta zjawiła się ich następna para, a były to jeżozwierze — samiec i samica, Noe, widząc ogromny bałagan w ich owłosieniu, wielce się zdenerwował.

— Drogi staruszku, Noe! — zawołały jeżozwierze — ten nasz wygląd to nasza uroda, a nie zaś niedbalstwo.

Właściciel arki uwierzył im i zaprosił na pokład.

Jeżozwierze przeżyły legendarny potop jak wiele innych zwierząt. Dziś żyją w południowej Azji, na Bałkanach i w Afryce. Są to gryzonie o masie ciała do 15 kg. Żywią się korzonkami roślin, kłączami i owocami. Są mało ruchliwymi zwierzętami o nocnym trybie życia. W dzień przebywają w suchych norach. Nie zapadają w sen zimowy. Ich nastroszone włosy na tylnej części grzbietu i na ogonie przekształciły się w ostre, długie na 40 cm kolce poprzecznie prążkowane naprzemiennie białymi i brązowymi odcinkami. Dawniej zabijano jeżozwierze dla ich smacznego mięsa i dla tych właśnie kolców, które służyły rzemieślnikom do wyrobu przedmiotów galanteryjnych. Kolce są przydatne jeżozwierzom w obronie przed drapieżnikami. Mają one właściwości łatwego wbijania się w ciało napastnika i łamania się. Pozostawiony w ranie kolec powoduje długie, bolesne ropienie, podobnie jak cierń. Nic dziwnego, że jeżozwierze nie mają zbyt wielu wrogów. Powiadają naoczni świadkowie, że zdenerwowany jeżozwierz, machnąwszy ogonem może na odległość wyrzucać kolce jak strzały wprost w ciało przeciwnika. Mam taki kolec podarowany przez kolegę, który fotografował jeżozwierza w warszawskim Zoo. Nie został on jednak zaatakowany przez zwierzę. Kolec ów wypadł z ogona jeżozwierzowi przy innej okazji.

Moja babcia wielokrotnie pytała mnie, czy nie mam drugiego takiego pręcika.

— Po co to babci? — spytałem w końcu.

— Zamiast drutów nadawałyby się do robienia swetra.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2100/86 A-20
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

JEŻOZWIERZ

Fot. Michał Wlaziński

CENA 20 ZŁ